



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

NOWA EWA.

Polka, Warszawianka rodem: Róża N..., obecnie zamężna i zamieszkała we Francyi, w Paryżu, napisała pod pseudonimem męzkim: „Jean Herrère, książkę, trzymaną w tonie pamiętnikowym, a zatytułowaną: „Une Eve nouvelle“¹⁾. Jest to historia ducha kobiecego, który przy pierwszym rozbudzeniu myśli czuć zaczyna, że mu jest ciasno w zakresie życia, zwanego przeznaczeniem kobiety—ciasno dla umysłu, który jest żywy, ciekawy i niespokojny—żądny wiedzy i wyrwywający się do niej pragnieniem, nieugaszonym przecież przez naukę, jaką dostaje. A sierota to jest bez matki; lecz ojciec, człowiek uczony, lekarz z zawodu, jest osobistością niepospolitą i szlachetny, rozumny człowiek odgaduje córkę. Wie, co się w niej dzieje, pozwala jej umysłowi oświecać się i rozumie—zdaje się nawet, że w głębi duszy sympatyzuje z wyższymi i nawet buntującymi się w niej nieraz polotami myśli, jednak mimo to, a raczej obok tego, wychowuje ją po kobiecemu. Dziewczyna rozżalona tem właśnie—tem, że drogi, którymi chciała bybiegnąć w życie, zamknięte są dla niej, woła: „Czemuż nie jestem synem mego ojca!”

Syn ten mógłby działać, gdy ona ma tylko czuć i myśleć—mógłby być wśród świata szeroko rozokolonym wpływem, wywierającym się na mnóstwo—na tłumy: „Oświecałby głębie dusz, wśród których panuje mrok; wstrząsałby umysły, które martwota znieczula; wołałby: — Obudźcie się... żyjcie... pracujcie... używajcie...”

Ona—ona tego wszystkiego nie może, bo ona jest kobietą! Chwile ludzkiego istnienia są policzone: „mało jest jednej inteligencji, aby zrozumieć, mało jest jednej pary oczu, aby patrzeć jednej pary rąk, aby spełnić zadanie człowieka na świecie, bo jakkolwiek pola ziemi są rozległe, rozleglejsze są przestrzenie państwa myśli“, a ona przez to, że się urodziła kobietą, musi powstrzymać się i ograniczać, szerokie swobodnie działanie dla siebie ludzkości jest dla niej zamkniętem... Przecież mimo to wszystko nie należy ona do tego hufca, który tworzą tak zwane emancypantki. Gniewa ją nawet ten ruch pomiędzy kobietami, oile jest mu bodźcem próżność, w jej oczach mizerna—oile nie powoduje tego potrzeba ducha wewnętrznego i nigdy też nie zażądała dla siebie żadnych patentów uniwersyteckich, żadnych laurów uczoności, zdobywanych z rozgłosem przy fanfarach zadowolonej miłości własnej. Ona chce jedynie: „pić ze źródeł żywej wody“ dlatego tylko, aby zasycić usta spragnione.

Ale ona jest majątna, nawet bogata, więc z żalem smutnym patrzy na te inne—na te współsiostry swoje, które dobijają się tego muszą, dla chleba—aby żyć. Widzi w nich istoty biedne, które mogą się stać użytecznymi, ale rzadko bardzo są szczęśliwe.

Wszystko to jest w niej przecież instynktem jedynie. Młoda, słyszy tylko coś, jak przecucie, szepczące jej to, czego życie nauczy dopiero przez doświadczenie.

Próżności niema też w niej wcale—wcale... Duch jej rwie się, bo ma skrzydła... Żąda nauki, bo ma pragnienie wiedzy, bo czuje jej potrzebę jak światła, jak czegoś takiego, czego dusza ludzka łaknie, aby uczynić sobie z tego pokarm, którym się wewnętrzny głód zasycy. Czy życie da jej jakkolwiek możność zużytkowania zdobytych skarbów? nie pyta jeszcze—jeszcze nie doznaje potrzeby wydania ze siebie, bo dopiero w siebie

wchła nia. Zbiera, bogaci się, ale pierwszy wyraźniejszy protest ducha przeciw porządkowi rzeczy ludzkich zaczyna się z chwilą, gdy wchodzi w świat, który jej nie zadawał nia. Zabawy, bale, zebrania liczne mają dla niej zrazu urok nowości—trochę tego czaru chwili, który nazwać-by można upojeniem przez wrażliwość żywej, zapalnej wyobraźni. Muzyka, światło, taniec, nakonieć suknia balowa lekka i powiewna, jak szata wieszczki w jakiejś fantastycznej balladzie—to ją zrazu pociąga—lecz na bardzo krótko, na wrzeń kilka. Świat jej nie porwał, zabawy nie upoiły. Jest na to za poważna umysłem, a w sercu ma za wiele uczucia, aby jej to starczyło na zaspokojenie tęsknot, które się odzywać zaczynają, na zapełnienie uczucia próżni, którą uczuwa.

Że taka kobieta potrzebuje się gdzieś zwrócić, aby przywiązać się silnie, że pokocha wkrótce—że jednak pokochać może tylko niepospolitego, szlachetnego człowieka, rzecz to łatwa do odgadnięcia dla każdego, który jest choć trochę psychologiem i tak też dzieje się w książce Jana Herrère. Zuzanna, pokochała i na szczęście, pokochała dobrze. Nie uwiodła jej uluda własnych pragnień, kładąca tak często na oczy podobnych jej kobiet szkła, zabarwione fantastycznie na kolor własnych ideałów. Pokochała dobrze, poszła za mąż szczęśliwie, ale niestety! znalazł się i tu ten kamień obrazu, o który się kaleczą nogi ludzkie. Miłość męża—wielka, gorąca, namiętna, nie jest przecież tem, co marzyła. On ma powołanie: urząd społeczny i ważny. Jest tak jak i jej ojciec lekarzem, a człowiek to i uczciwy, i ofiarności pełen, że zaś w dodatku ona przyniosła mu znaczny majątek: więc się oddaje cały dobru ludzkości, pracuje na tej drodze z pochłaniającem go poświęceniem, i ona spostrzeżając wkrótce, że jest mu potrzebna głównie, przeważnie jako uczucie, jako ciepło serca. Dając mu to, już go uszczęśliwia, a choć i ona kocha róż-

1) Paris, Paul Ollendorff 1888 a:

wniez, choć i dla niej miłość męża jest skarbem drogim — jest szczęściem najwyższym, jednak nurtuje ją głuchy żal. Na co jej się zda ta siła jej myśli i rozumowania, która jednak tak wielkie miejsce zajmuje w jej istocie? Czy Maxym nie byłby jej i tak pokochał bez tej wyższości umysłowej, czy nie byłby jej kochał równie wiernie, jak dziś i bez tego?

Zdobywała sobie tak uparcie i namiętnie dobra, z którymi teraz zdaje jej się, że nie ma co robić — biedna!...

Czytelnik może się już lękać o nią. Czy pewną stroną istoty swojej nie uczuje w życiu pustki, a co więcej może, czy nie uczuje żalu do życia? Ale Zuzanna zostaje matką i spostrzega wkrótce, iż się omyliła. Nic w niej nie ma zanadto — nic niepotrzebnego, skazanego na zagładę, coby musiało stać się nieużytkiem i pozostać w niej odłogiem... Ona ma chować człowieka... *Ewa nowa* widzi, jak jej przeznaczenie niewieście podnosi się i udostojnia — rozszerza się i pogłębia przed jej wzrokiem. Tu trzeba nie tylko czuć i kochać bez miary — tu trzeba *wiedzieć*, trzeba *rozumieć*...

Więc bogata ta natura przenika się znowu szczęściem i przychodzi do równowagi, do zgody ze sobą, z przeznaczeniem kobiety i tak pisze w pamiętniku swoim: — „Powoli, nieznacznie miłość macierzyńska wsunęła mi się w serce i zapełniła je całe. Kiedy mój mały synek podnosi na mnie oczy, w których odbija się niepewna jeszcze siebie ciekawość, wdzięczne zadziwienie, nie pytam się już teraz: co ja pocznę ze dolnościami i władzami mego umysłu? Było ich tam za dużo dla młodej dziewczyny, jeszcze nieco za wiele dla małżonki, czy tylko będzie ich dość dla matki?“

„Trzeba mi wieźdź dziecko moje pod górę życia, podnosić jego duszę ponad to, co jest nędznem i pospolitem, aby wzniosłe prawdy i piękności wiekuiste odbiły się tam — w tej duszy z całą czystością i świetnością swoją. Trzeba mi natchnąć mego syna głębokiem politowaniem dla słabości i nieświadomości, aby nie był pysznym i wzgardliwym, a wzbudzić w nim surową litość dla podłości i gwałtu, aby nie stał się okrutnym. Trzeba mi zaszczerpić w nim szacunek dla człowieka, aby wierzył w postęp i mógł być użytecznym, trzeba mi zaszczerpić w nim uszanowanie kobiety, aby wierzył w świętość miłości i mógł być szczęśliwym...“

„Będzie on, mój syn, tem wszystkiem, czem ja być nie mogłam... Wszystko, co dla mnie było zamkniętem, przed nim się otworzy; wszystko, co mnie było wzbronionem, jemu dozwolonem zostanie, co dla mnie było niedostępnem, on osiągnie. Będę miała prawo być ambitną dla niego więcej, niż dla siebie samej; odżyję w nim życiem szerszem i piękniejszym, niż było pierwsze istnienie osobiste, a jeżeli będę mieć kiedy córkę, nie zasmucę się tem i nie będę jej żałować, że się urodziła kobietą, bo i ona może być kiedyś matką.“

Lecz oto i małżonka zaczyna wkrótce dochodzić do tego, czego jej brakło.

Po pewnym czasie mąż z namiętnego kochanka przemienia się w dobrego, tkliwego przyjaciela i co więcej jeszcze, ta kobieta, która jest zdolną pojąć go w jego męzkich, wysokich i śmiałych ideach, dopełniać będzie braki jego — braki świetnej i potężnej inteligencji, w której jednak są pewne niedobory, powstałe ztąd, że inteligencyja ta musiała się skupiać w pewnych razach i wszystkie siły wyteżać na pewne punkta. — Ona to spostrzega, lecz jest dość rozumną, aby zarazem pojąć to w przyczynach i nie tylko w brakach tych nie widzi jakiejś niższości męża, ale przeciwnie — wyższość i przymiot siły męskiej, na którą czyżby ją stać było?

Zwracając wzrok badawczy w głąb własną, widzi, że ona nie potrafiłaby tej sztuki koncentrowania się, a która przecież stanowi całkowicie o wielkości pewnych mężów znakomitych: mędrców, statystów i badaczy. Jest na wyniosłych szlakach nauki i myśli ludzkiej tysiące sfinxów zaczajonych na podróżnika: na myśliciela, na erudyte, pragnących pociągnąć godo siebie i za sobą. Czy ona naprzykład: żywa,

ciekawa, z wyobraźnią lotną i gorącą, zdołałaby się oprzeć pokusom i czy potrafiłaby, zakuta tak w pancerz wytrwałej woli, dokonać zamierzonego dzieła wielkiej, wyczerpującej pracy profesjonalnej?

Nie wie, a raczej zaczyna wątpić i wyznaje to. Uczucie nieznanne jej dotąd — pokora wstępuje w nią i czyni wyznanie — że nie byłaby zdolną pod niektórymi względami wykonywać tak samo jak to czynią mężczyźni, pewnych szlacheńskich ale surowych prac, które przecież nie wydawały jej się niegdyś niedostępnymi.

Przyznaje uczciwie i to jeszcze, — że takie zrozumienie rzeczy przyszło jej za pośrednictwem męża: „de mon bien-aimé, de mon maitre.“

Nowa Ewa jest nie tylko książką, która się miło czyta, ale jest to bardzo dobry przyczynek do dyskusji nad emancypacją kobiety. Ludzkość dzieli się na dwa państwa: w jednym władczynią jest kobieta, w drugim króluje mężczyzna.

M. Ilnicka.

NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

I.

Poco zgromadził się wiec pod Turową Bożnicą.

Kijów był wielkim i warowym grodem i dzielił się na dwie połowy, jakby dwa obszerne odrębne miasta: Górę czy Koniec Kniaży i Padół. Prawdziwy gród czyli miejsce warowne stanowiła Góra. Tu mieściły się dwory kniaziów, znaczniejszych bojarów, wiele cerkwi i monasterów. Gród czyli Górę otoczył murem jeszcze ojciec Izaśława, Jarosław, który, okrążywszy gród kamiennym pierścieniem, niedaleko cerkwi S-ej Zofii, spał go jakby kłamrą, mostem rzuconym przez głęboki parów, broniony Złotą Bramą. Na zachód i północno-zachód ciągnął się ów mur szeroko na cztery prawie łokcie popod wzgórze, nazwane Sadami i Ogrodami Kijowianów, następnie koło Żydowskich Wrót, którą szła droga do Polski, schylał się do wąwozu, łączącego Górę z Kozemiakami i Padolem. Od owego wąwozu, który wiązał Kniaży Koniec z Padolem, ściana Jarosława piętrzyła się wysokiem wzgórzem, wsiadacem nad Padolem, aż do Boryczowego Wjazdu, gdzie za dziada Izaśława stał słowiański Perun ze srebrną głową i złotymi wąsami. Za cerkwią i monasterem św. Michała ściana dotykała wzgórze zwanego Perewiesiszcze, schylonego do wąskiej, stromej, porosłej lasem, a przeciętej bystrym strumieniem, płynącym do Dniepru, Chreszczatej Doliny, która nieco ku północy łączyła się z dzikim lasem zwanym Debry, a dalej lasiem ramieniem dotykała monasteru św. Mikołaja, mogiły Askolda, Ugorskiego pobrzeża i rozrzuconych zabudowań i celek Peczerskiego Monasteru. Popod monasterem św. Ireny i pod ogrodami wiazała się owa murowana ściana Jarosława ze Złotą Bramą.

W samym grodzie mieszkał Izaśław na Kniażym Dworze, zwanym także Wielkim albo Jarosławowym dworem, leżącym niedaleko cerkwi Ś. Bazylego, w tamsam miejscu około Boryczowego wąwozu, gdzie miał siedzibę Kij, pierwszy kniaz kijowski. Obok Wielkiego Dworu były Teremy Olgi, wznosiły się cerkwie Dzieśięcinna, Bogarodzicy, śś. Teodora i Andrzeja i stał obszerny dwór Demestyków. W owem centrum grodu mieściły się dwory i teremy kniaziów, otoczone osobnym murem i wrotami ś. Zo-

fi i łączyły się z drugim końcem Góry, zwanym końcem św. Zofii, od cerkwi tegoż imienia, gdzie były dwory wojewodów i bojarów.

Pod koniec panowania Jarosława, który twarzą ręką sprawował rządy, mieszkający chętnie przesiedlali się z Góry na Padół, gdzie utworzył się swobodniejszy samorząd ludowy i silniejsza była opozycja przeciwko coraz potężniejszej władzy książęcej. Kijowianie mieli na Padole targ, czyli wielkie kantory handlowe dla handlu z Bułgarią i koloniami greckimi, i swoje wiece tam odbywali. Kniazio wie, siedzący na Górze, niechętnie patrzyli na zgromadzenia ludowe, które, nie tylko uszczuplały ich powagę, ale nieraz groźny przybierały charakter. Zdała od grydniów i drużyny czuł się lud swobodniejszym i głośniejszym odzwonienie dzwonu wiecowy.

Teraz właśnie coraz niespokojniej było w Kijowie, a szczególnie na Padole: lud się burzył i hucał, wymyślając na kniazia i wojewodów.

Było to pod jesień. Izaśław z drużyną powrócił do Kijowa z wyprawy ze Świętosławem Czer-nihowskim i Wszewołodem Perejaśławskim na Połowców; wyprawa nie udała się. Wystąpił bracia przeciwko Połowcom nad Alę, mając zamiar zwalczyć wspólne nieprzyjaciela wspólnymi siłami, — tymczasem Połowcy zwyciężyli. Książęta stracili chęć do dalszej walki z koczującymi taborami Połowców i rozbiegli się do domów, spodziewając się w warownych grodach łatwiej i lepiej się bronić.

Połowcom było to zwycięstwo bardzo na rękę. Niemając już przed sobą nieprzyjaciela, a kraj otwarty, pustoszyli najprzód Księstwo Perejaśławskie, a później, przeprawiwszy się przez newodnicki przewóz, obeszl brzegami Łybedi Kijów i małemi oddziałami niepokoił mieszkańców, grabiąc i łupieżąc okolice. Do wnętrza grodu dostać się nie mogli, bo był dobrze broniony; regularnego oblężenia prowadzić nie mogli również — do tego liczba ich była zaszczupła; więc napadali przysiółki i osady podmiejskie, a nawet dalszym siedzibom nad Rosią i Irpeniem dostawało się nieraz. Przestrach powszechny pona-wala z tego powodu, że nieprzyjaciel poraz pierwszy pojawił się na Rusi, również i dlatego, że nie występował nigdy do otwartego boju, ale grabił i palił wszystko, co na drodze napotkał. Najwięcej ucierpiały sady i ogrody Kijowianów, do których przystęp zatamowano. — Połowcy chwytali każdego, kto tylko nosa wychylił, tak, że mieszkańcy Góry nie śmieli wysunąć się poza ścianę i w Łybedi konia napoić.

Równie jak Górze, zagrożono i Padolowi, może i więcej, bo, ta część miasta oddzielała się od Obołoni tylko częstokołem i rowem. Ledwie więc nie co tygodnia był jakiś alarm w Kijowie.

Tymczasem Izaśław nic nie robił. Siedział spokojnie na Wielkim Dworze i pił z drużyną.

Budziło to powszechne niezadowolenie.

— Nam kniazia do miodu nie trzeba — woła-no — ale do obrony.

— Miejsce drużyny — mówili inni — nie w sieniach kniazioskich, ale na przesłach i w polu.

Dolatywały echa tych nieporozumień i niezadowolenia ludu do Izaśława, a niesłusznie dostawało się i wojewodzie. Wojewoda Kośniaczko nie należał wcale do rzędu tych ludzi, którzy prawdę lękają się mówić. Dumny przyjaźnią i zaufaniem Jarosława, poczuwał się do obowiązków względem Rusi i kniaziów i głos zabierał śmiało, ile razy mówić wypadło.

Kijowianie mimo to nie przestawali i wojewody obwiniać, którego wszyscy przyzywczaili się uważać jako prawą rękę kniazia, chociaż Izaśław mało do posług publicznych używał Kośniaczki, otoczywszy się nowymi drubami i nową drużyną.

Jak tylko ruchy rozpoczęły się w mieście, Kośniaczko pojechał na Kniaży Dwór.

— Złe dzieje się, kniaze — rzekł, — Połowcy nas czubią, a ty drużynę w sieniach trzymasz, poisz, stroisz w złoto i pawołokę...

Kniaz, podochocony winem, butnie się postawił.

— Stroję... bo z drużyną dobywam złoto i pawołokę. Jak mam drużynę za sobą, to mam i siłę.

Stary wojewoda zamyślił się.

— Prawda, kniaże, ale lud się burzy; drużyna mała, a ludu moc. Jak drużyną nie będziesz bronił ludu, to lud i sam bronić się potrafi.

Izasław zakąsał wąsy.

— Wojewodo! — odrzekł wyniośle — dziś nie ma bojarskiej rady; jak zawołam ciebie, wtenczas i mówić pora będzie.

Odpowiedź była zbyt jasna. Stary wojewoda chmurny powrócił do domu.

Izasław swoim zwyczajem albo siedział z drużyną, albo polował w Debrach z rohatyną na niedźwiedzie i wilki, a z krzeczotami na łabędzie.

Po powrocie wojewody do domu, na godzinę lub dwie może przed zachodem słońca, zajączkał dzwon wieczoru na Padole, a głos jego z cichym echem wieczoru leciał od Turowej Bożnicy z jednej strony na Dniepr, ginąc gdzieś w łożach na Turchanowym Ostrowie, z drugiej po Oboloni i odbijał się o lasy i Góry Wyszogrodzkie, a z trzeciej dolatywał aż do kniażego końca.

Dzwon jęczał aż do zachodu. Wsłuchawszy się dobrze w tę ciszę wieczorną, wśród której kołysały się smutne i jednostajne dźwięki dzwonu, można było rozróżnić wyraźnie kilka głosów. Istotnie, dzwon wiecący nietylko zwoływał ludzi na Padole, ale i w przysiółkach i pogostach sąsiednich, stanowiących z Kijowem jedną całość, jak: w Przedslawinie, Wyszogrodzie, Berestowie, Bielhorodzie. Konni i piesi poczeli ścigać się drogami, i ścieżkami na Padół, na plac przed Turową Bożnicą, gdzie zwykle odbywał się wiec Kijowianów. Wnet z wielkiego dworu wysłano konnego grydnia, aby się dowiedział: czego to lud gromadzi się przed Turową Bożnicą?

Późnym wieczorem powrócił grydeń i wieść przyniósł kniazowi, że Kijowianie radzą: jak się bronić od Połowców, którzy coraz częściej poczeli im dokuczać, tak, że już nareszcie niema bezpieczeństwa dla żon, dla dzieci i mienia. Grydniovi kazali powiedzieć, aby kniazia z drużyną i bojarami na radę prosił. Nie w smak była Izasławowi ta odpowiedź. Może i miał jakie złe przeczucia, ale stawiał się hardo i kiedy Kijowianie nocą już radzili na wiecu, on zebrał całą drużynę koło siebie, kazał wytoczyć z meduszy dwie beczki miodu, przywołał sopilników i taneczerzy i weselił się w grydnicy z drużyną.

Wiec ludowy, zwołany tak nagle do Kijowa, nie uszedł uwagi wojewody Kośniaczka.

Była może piąta albo szósta godzina nocna, kiedy stary wojewoda, wyszedłszy z teremu, usiadł na ławeczce w ogrodzie przed rundukiem i nasłuchiwał dalekiego szumu, dolatującego z Padolu. Słychać było wolań i krzyki ludzi, zmieszane z dalekiem rżeniem i tententem koni. Zbyt go niepokoiło i zaciekało to, co się dzieje przy Turowej Bożnicy, posiedziawszy więc czas niedługi wyszedł za wrota i podążył do baszty, która jak raz przy jego ogrodzie rozpoczynała nowe przesłó. Patrzył ztamtąd na Padół i słuchał. Chociaż pełny księżyc świecił jasno, stare oczy wojewody nie mogły nic dostrzedz. Gwar tylko dolatywał go coraz wyraźniej, jakieś pogródki, nawoływania, skargi; było to głośne i zuchwałe wykrzykiwanie ludu, które nic dobrego nie wróżyło. Patrzył przed siebie zamysłony. Wszystko daleko wokoło spało już dawno snem spokojnym, tylko tłum ludzi mrowił się i krzyczał koło targu i cerkwi św. Gleba. Dniepr płynął cicho, pod Szczekawicą lub na Kożemiakach czasem mignęło blade światelko, przehukiwali się na Oboloni pasterze bydła i koni lub spłoszone stada łabędzi przelatywały z Oboloni na Jezioro Dołobskie.

Wojewoda długo siedział zadumany i zapatrzony, kiedy do ucha jego doleciał śpiew. Był to potok srebrnych, dziewiczych głosów, który z górniczy jego choromów spływał i wśród ciszy nocnej leciał daleko nad Padolem i Dnieprem.

Kośniaczko podniósł głowę z pewnem zadowoleniem.

— Śpiewa ptaszyna moja — pomyślał stary i wsłuchiwał się w głos znany.

Był to śpiew jego córki Ludomiry.

Słuchając śpiewu, zdawało się, że stary wojewoda zopomniał o tej burzy, która kipiała u nóg jego na Padolu. Echo rozlegało się coraz dźwię-

czniej i smutniej. Pierwszą strofkę śpiewała Ludomira, a drugą chórem powtarzały drużki:

Nie spałam ja, młodzusienska, nie spała,
Jam o tobie, mój sokole, myślała.—

Czemu latasz chyżopióry pod lasem?
Przyleć do mnie, mój sokole, choć czasem.

Oj zagłada cichy miesiąc w górnicę;
Widzi zawsze tylko smutne me lice...

Czemu latasz chyżopióry pod lasem?
Przyleć do mnie, mój sokole, choć czasem.

Oj dąbrowo, ty zielona dąbrowo,
Po co szumisz mi, zielona, nad głową...

Listki twoje smutnie szepczą ze sobą,
Wiatr od ciebie wieje do mnie—żałoba.

Daleko płynęły echa piosenki, aż złane z echem rozgwaru, dolatującego od Turowej Bożnicy, konały ponad zielonemi ostrowami Dniepru. Starzec nie ruszył się z miejsca.

Póki więc siedzi spokojnie, zajrzemy do górniczy, gdzie śpiewały dziewczęta. Choromy wojewody Kośniaczka tem się tylko różniły od kniazioskich, że były znacznie mniejsze; zresztą nie wyróżniały się ani stylem, ani materyalem, ani rozkładem wewnętrznym; jak i inne, były z drzewa, gdyż w owe czasy tylko wielki dwór Jarosława zbudowany był z kamienia.

Idąc z Kniażego Końca na Padół przez Kożemiaki, minawszy dwór Bracysława, pierwsze z prawej strony choromy należały do Kośniaczka. Zbliżywszy się nieco pomiędzy stuletnie lipy i jawory, widziało się obszerny budynek piętrowy, wśród wysokich drzew schowany, kryty deskami. Jedno tylko malutkie okienko, zaciągnięte taflą mikową, z piętra, czyli górniczy, zwracało się na ulicę; reszta okien wychodziła do ogrodu i zamiast tafli mikowych, drogich i zaledwie po księżących teremach napotykanym, miała szyby naciągnięte wyprawniemi cielęciami lub jałowiczemi pęcherzami. Okna przysposobione były do wyjmowania na lato. Dolna część choromów, oprócz kilku *sieni* ¹⁾ urządzonych dla letniego wypoczynku rodziny i gości bojarskich, posiadała jeszcze wielką izbę—grydnicę, w której wyłącznionie odbywały się przyjęcia gości, uczyty i tańce. Przez całą długość choromów dolna ich przednia część, zwrócona do bramy, posiadała krytą galeryą, na dwa, może na trzy łokcie szeroką, wspartą na drewnianych słupach butelkowatego kształtu. Galerya taka, nieodłączna część domu każdego bogatszego bojaryna, nazywana rundukiem, służyła w lecie dla odpoczynku gości i domowników; dlatego też popod ścianą przez całą długość stały rzędem dębowe ławki, okryte naławecznikami z czerwonego sukna, obszytego u dołu złocistemi frendzlami. Kilka małych okien, wychodzących z grydnicy na podwórze i runduk, było zaciągniętych również cielęciami pęcherzami. Do choromów przylegał sad owocowy, złojący się do księżycy dojrzałemi jabłkami, a wkoło choromy i sad otaczał dębowy częstokół. Wielka brama wjazdowa i furta wznosiły się naprzeciwko choromów, a z boku, nieco od bramy, w częstokole umieszczone małe, zakratowane żelazną kratą okienko, pozwalało widzieć, co się dzieje na ulicy, nie wychodząc za obręb choromowego ogrodu.

W choromach nie widać już było światła; tylko srebrzysty blask księżycy oświecał choromy i sad, długi cień rzucając od częstokoła.

Wszedłszy do choromów przez obszerną sień, przy progu której leżała wielka rohoża do oczyszczania z błota i kurzu obuwiu, w końcu sieni po wschodach dostawało się do teremu i górniczy.

Terem Kośniaczków stał pustką prawie. Żonę stracił wojewoda dawno, synów nie miał; jedyną

więc pociechą jego starości była córka Ludomira, która sama, z kilku drużkami i służebnicami, pod dozorem starej mamki Dobromiry, królowała w teremie.

Wejdzmy do górniczy.

Obszerna czworoboczna izba, dwoma niewielkimi okienkami wychodząca na sad, w środkowej ścianie, od sadu, miała wielkie drzwi wyjmowane lub zakładane, stosownie do potrzeby. Drzwi te były niezbędne latem, gdyż w czasie upałów lub też wieczorami wyjmowały się dla odświeżenia izby. Teraz właśnie przez wyjęte drzwi księżyc patrzył ciekawie do dziewiczej górniczy i zalewał ją bladem światłem.

Nieco opodal środka górniczy stały dwa wysokie trójnogi, nakształt greckich, ofiarnych, a na nich umieszczone gliniane z łabędziami szyjkami żerniki paliły sięko peącym, nieco czerwonym płomieniem. Ściany izby były obite deskami i powleczone jedwabną materyą; takążsamą materyą pokryte były naokienniki i ławki. Podłużny dębowy stół, przy jednej z bocznych ścian stojący, posiadał na górnej płycie inkrustowane z drzewa w cieniu obrazy świętych z ornamentyką po rogach w kwiaty, ptaki i lwy, a służył widocznie bardziej dla ozdoby dziewiczej komnatki, niż dla potrzeby. Ze strony przeciwległej do sadu, widać było jeszcze dwoje drzwi; jedno prowadziły do sypialnej komnaty Ludomiry, drugie—do komnat drużek, goszczących w bojarskim domu, i do dziewic służebnych.

Opodal nieco od drzwi wyjętych od sadu, na ławeczkach siedziały naprzeciwko siebie dziewczęta, po dwie na każdej; w ławkach sterczały kądziela z nawiniętą wełną, którą dziewczęta przędły, śpiewając.

Krojem odzieży nie różniły się od siebie, ale jej bogactwem. Ludomira, zwana przez skrócenie Luda, była wysmukłą, kształtną, jasnowłosą dziewczyną. Obfite włosy, splecione w jedną kosę, spadały z tyłu na letnik, a wplecione w nią, złotą i srebrną nicią przetkane wstążeczki, polyskiwały różnobarwnem światelkiem do promieni księżycy. Rumiana, pociągła nieco, regularna i łagodna twarzyczka Ludy, i dobre jej serce—jednaly wszędzie przyjaciół młodej bojarównie.

Narzucony na białą koszulę ciemno-szafirowy wełniany letnik bogactwem ubioru wyróżniał ją od wszystkich współtowarzyszek. Letniczek Ludy, rozcięty na przodzie tak, że obie połowy jego łączyły się ze sobą spięciem, idącym od dołu aż do pasa, od pasa był zapięty pod szyję na srebrne guziczki i zgrabnie otaczał kształtną i giętką jej kibić. Mankiety koszuli, a raczej zapiastia, różnobarwnym jedwabiem w kwiaty wyszywane, gdzieniegdzie miały wszyte drobne perelki i złote nakapki. Szerokie rękawy letnika, rozcięte od ramion, spadały aż do pasa; podszewka ich ponsowego koloru, jako też końce obszyte były nakapkami czyli drobnymi perłami, a dół okrężała złocista taśma. Letnik na pół łokcia może nie dostawał do ziemi tak, że widać było nogę Ludy, obutą w sandałki podwiązane pogrecku. W dnie świąteczne lub do gościny, zamiast sandałów służyły krótkie buciki z kolorowej skóry, z nogawkami naszywanemi w desenie jedwabiem, złotem i nakapkami. W uszach miała okrągłe koleczyki kształtu węża, spinane w paszczy i takieżsame manelki.

Kiedyśmy się rozglądali po dziewiczej górniczy, właśnie ostatnia zwrotka piosenki, którą nasłuchiwał, siedząc na baszcie, stary wojewoda, kończyła się i dziewczęta ostatni raz chórem powtórzyły:

Listki twoje smutnie szepczą ze sobą,
Wiatr od ciebie wieje do mnie — żałoba...

I śpiewać przestały.

Zanim ostatnie echa piosenki skonały nad Dnieprem i na zielonych ostrowach, Luda wstała od kądzieli i rzekła wesolo:

— Na dziś, drużki, dosyć już pieśni — północ, trzeba iść spać.

Wszystkie powstały od kądzieli, zawołano służebnice. Jedna z nich poczela uprzątywać kądziela, druga, zdjąwszy świtec z trójnoga, poszła

1) Pokojów, izb.

do sypialnej komnaty Ludy, aby pościel przygotować.

— Zbiegnę jeszcze—rzekła Luda— pocałować ojca i spać pora.

Wymówiwszy to wyszła z górnicy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOTATKI PEDAGOGICZNE.

— Kwestya ważna dla rodziców i wychowawców została poruszona w prasie francuskiej przez wyjście książki należącej do wydawnictwa: *Bibliothèque scientifique internationale*, a skreślonej przez dr Lagrange pod tytułem: „De l'emploi des exercices du corps, comme moyen de réposer l'esprit.“ Dr Lagrange uważa, że trapez, gonięcie do pierścienia i tym podobne ćwiczenia gymnastyczne, są, zwłaszcza dla początkujących, rzeczą trudną i nie tyle wyrabiają mięśnie, ile męczą mózg przez uwagę, aby dobrze wykonać te ruchy trudne. „Zaduzo pracy nerwów, a zamało ruchu mięśni“—pisze tenże dr Lagrange, który wogóle nie jest przyjacielem gymnastyki sztucznej, jaka obecnie zapanowała w wychowaniu, zwłaszcza po pensjonatach. — „Niech przepisują fechtowanie się, gymnastykę z przyborami, i sztuki konne tym leniwcem, których umysł, których mózg gnuśnieje przez brak ruchu; bo wysiłki woli i pracująca tu wespół uwaga wyteżona, rozbudzają zbawiennie zastój ich komórek mózgowych. Ale młodzież, zmęczona pracą nad książką, której centra nerwowe pod wpływem wysiłku umysłu ulegają kongestji, powinna używać głównie ruchu dalekich wycieczek pieszych, robić wiosłem, bo jest to ćwiczenie łatwe do nauzenia się i wykonywania, a w ostatnim razie, biegać na wyscigi, wrócić do dawnych gier w piłkę, w lisa—używać wreszcie wszelkiej zabawy ruchliwej, bo każda lepszą będzie od właściwej gymnastyki, której ćwiczenia w rzeczywistości jest sztukami akrobatycznymi.“

Kronikarz ruchu naukowego w paryskim dziennikarstwie, Zaborowski, dodaje do tego przy rozbiórce książki dr Lagrange uwagi, bardzo chwalone przez redakcją francuskiego *Przeglądu Pedagogicznego*:—„Przy wszelkiej pracy muskularnej inteligencja jest zawsze mniej, lub więcej zajęta, istnieje zawsze większy, lub mniejszy wydatek siły nerwowej. Niema między pracą ciała a pracą umysłu zupełnego rozgraniczenia, niema zupełnego przeciwstawiania się ich sobie. Niwszystkie zajęcia, niwszystkie ćwiczenia są użyteczne, bo niwszystkie pozwalają odpocząć nerwom i zwalniają natężenie pracy umysłu; to też, skazując młodzież zaraz po nauce książkowej na pracę ćwiczeń gymnastycznych, można ją raczej nad siły zmęczyć, a nie od zmęczenia ratować.“

„W każdym ruchu mięśni, który nie jest wykonywany mechanicznie, potrzeba wysilać się woli, potrzeba ciągle pracować uwadze. Wszelkie ćwiczenia gymnastyczne potrzebują pewnej nauki, pewnej wprawy, ruchu skombinowanego, i czem jest to trudniejsze, tem więcej pracować tu musi inteligencja. A przeciwieństwo w ten sposób chcą w szkołach naszych zażegnać niebezpieczeństwo zbytniego wyteżenia umysłu, chcą uspokoić nerwy rozdrażnione, bo wszędzie niemal została dziś przyjęta gymnastyka uczona, akrobatyczna—sztuki łamane. Wszyscyśmy przebywali te ćwiczenia denerwujące, wykonywane na komendę, naśladowane ruchy nauczyciela gymnastyki i pamiętamy wszyscy tę głupią bacność (stupid attention) przełożonych, abyśmy się nie oddawali zabawom najhygieniczniejszym dla tego tylko, że były zabawą...“

— Francuzka elementarna nauczycielka, Anna Delabrousse, w raporcie swoim, złożonym Towarzystwu ochronek „des écoles enfantines“ o urządzeniu szkoły, dotknęła dekoracji sal szkolnych ze względu wpływów na estetyczny zmysł dzie-

cka i nastroj jego umysłu. Ze miejsce, gdzie dziecko się uczy, powinno być dostatecznie oświetlone, mieć dość i czystego powietrza, to już każdy i oddawna. Ale urządzenie lokalu szkolnego ma jeszcze inne wymagania swoje, ważne przez wrażenie, jakie wywierają na wyobraźnię dziecka. Powinno ono przystępować do nauki w usposobieniu umysłu wesołym i Anna Delabrousse żąda tego wpływu od miejsca, wśród którego dziecko w czasie nauki przebywa. Ściany powinny być, o ile można, koloru jasnego. Jest ona za kolorem zielonym, który zarazem działa dobrze na wzrok a w cieniach swoich jasnych i łagodnych nie zawiera szkodliwych dla zdrowia części składowych. Przeważnie przecież chodzi jej o to, aby ściany były jasne, a wtedy ramy okien i odrzwia złotawo brązowe harmonijnie się zlewają z całością i sprawiają wrażenie przyjemne dla oka.

Ale głównym żywiołem wesołości, który tu wprowadzić należy, są rośliny—rośliny zielone. Bluszcz, zwieszający się po bokach okna, tak jednak, aby zwisał, nie rozpinając się po murze, utworzy przy uważnym obcinaniu gałęzi bocznych girlandę, wdzięczny i wesoły efekt sprawiająca, która w ten sposób utrzymywana bynajmniej murów nie zawilgoci. W skrzynkach, tak nisko przy oknie umocowanych, aby nie zaciemniały pokoju, inne zielone rośliny równie rozweselający skutek wywierają będą; tylko kwitnących, a zwłaszcza wonnych unikać należy ze względu na czystość powietrza, z którym żaden aromat silny mieszać się tu nie powinien.

Roślinność w salach ochronek i wogóle w szkołach, gdzie zbiera się znaczniejsza liczba dzieci, ma jeszcze ten higieniczny przymiot za sobą, że pochłania kwas węglowy, który się wytwarza przez oddychanie dzieci.

Że miłe, uweselające wrażenie łączy się z widokiem zieloności, wie to każdy, ale rozwijająca się pod oczyma dzieci roślinność budzi oprócz uczucia przyjemności, bardzo dobre zajęcia, które w celach potrzebnej ciekawości naukowej użytkować należy. Świat zwierzęcy mniej się do tego nadaje, ale roślina, kwiat—to świat cały ciekawych tajemnic, które umysł dziecka śledzić zapragnie, otwierając sobie w ten sposób dla myśli zasłonięte przed nią dotąd, a szerokie horyzonty.

Obok map geograficznych, które zwykle już spotykają się na murach szkolnych, obok obrazów z historii naturalnej, ważną rzeczą jako pomoc naukową i edukacyjną, są obrazy historyczne. Anna Delabrousse żąda dla sal szkolnych najpierw i przede wszystkim obrazów z historii Francji—chce, aby oblicza wielkich ziomków dziecka: wodzów, poetów, bohaterów francuzkich przemawiali do młodych serc i umysłów nie tylko jako pomoc naukową dla zapamiętania faktów historycznych, ale jako przenikanie się ideą historyi. Przecież wychowanie nie powinno zacieśniać się zbyt szalenie. Ludzkość cała należy do tego dziecka, z którego ma wyrosnąć człowiek, trzeba zatem, aby znało ono i kochało od dni życia młodych wszystko, co wśród ludzkości dzieje wydały pięknego i szlachetnego. Z tego względu obrazy wielkich faktów z historii powszechnej, portrety takich osobistości, jak na przykład: Waszyngton, powinny się znaleźć na ścianie przed oczyma dziecka francuskiego, obok Turenusza i innych wielkich mężów Francji. Godność, dzielność duchowa wielkiego Amerykanina, tak jak godność, dzielność duchowa jakiegoś Rzymianina lub Greka, Leonidasa, czy Horacyusza Koklesa, wejdzie w pierś francuskiego dziecka i pracować tam będzie dla szczęścia Francji. Siła rozbudzonego tu uczucia i gatunkowa jego wartość—to grunt.

Artystyczne uczucie dziecka potrzebuje też edukacji. Urządzenie szkolnego pokoju to krok ważny w kierunku kształcenia młodego smaku. Porządek najściślejszy, „le plus rigoureux“, musi tu być zachowany; to rozumie się samo przez się, bo piękno nie istnieje bez czystości i ładu, który wytwarza harmonię. Przecież najwyższa prostota może się tu łączyć wybornie, a nawet dla względów moralnych łączyć się tu powinna, z roz-

budzeniem w dziecku zmysłu estetycznego. Przecież jest to dopiero tło—ważne jak tła wszelkie. Kształty artystyczne, szlachetne przedmioty sztuki, wcześniej przedstawiane wzrokowi młodemu, wpływają wielce na wyrobienie smaku. Wiele osób twierdzi, że barwa przedewszystkiem uderza przez wzrok wyobraźnię dziecka, i przedmioty nie przyodziane w blaski kolorytu pozostają dla niego, jako wyraz piękna, martwemi. Przecież dzieła sztuki o formach czystych, o liniach harmonijnych, postawa wdzięczna, wyraz siły, działają na zmysł widzenia dziecka, zwłaszcza, jeżeli nie są to wrażenia przelotne, ale wpływy stałe i trwające przez czas dłuższy. To też codzienne patrzenie na przedmioty artystycznie piękne: na sztychy, na gipsowe odlewy—reprodukcyje szlachetnych dzieł sztuki dokonywają estetycznej edukacji dziecka i dlatego powinny znajdować się w pokoju szkolnym, jako pomoce edukacyjne. Tylko wybór musi być odpowiednim. Otóż gipsy działają mocniej niż rysunek, bo kształty plastyczne uderzają silniej zmysł wzroku i należy je umieścić przed oczyma dziecka, co nie ma jednak wyłączać albumów z reprodukcjami fotograficznymi lub kredkowymi, obrazów wyższej piękności, zwłaszcza w przedmiotach, któreby uderzyły nie tylko wzrok, ale wyobraźnię a dalej uczucie młode.

Takie są żywioły, które składać się powinny na przyozdobienie klas i pokoi szkolnych—miejsca, wśród których dziecko przebywa, i wyrobienie sobie smaku przez nawyknięcia wzrokowe. Tylko potrzeba tu jeszcze pewnej symetrii i systematu—porządku, aby wrażenia nie były chaotyczne, aby rozbudzające się poczucie piękna nie błakało się jak wśród lasu, bez drogi i kierunku. Kierunek dany znaczy bardzo wiele: strzedz się przecież potrzeba, aby nie był despotycznym. Trzeba zostawić dziecku coś swobody, aby indywidualność estetyczna, tak jak indywidualność moralna, duchowa, stłumioną—zabitą nie została. Należy kierować, ale nie wieść na paskach.

— Międzynarodowy kongres kolonii letnich dla dzieci słabowitych, zwołany został na dzień 13 i 14 Sierpnia do Zurychu przez założycieli takichże kolonii w Szwajcaryi: pastora Bion i Dr Haab, profesora na fakultecie medycznym zurychskiego uniwersytetu. Celem jest tu roztrząsanie najlepszej pod względem fizycznym i moralnym metody urządzania kolonii letnich, oraz komunikowanie sobie wzajemnie doświadczenia, zyskanego w przedmiocie higieny dziecięcej. Pierwszą pozycją w programmacie narad kongresu stanowi myśl założenia międzynarodowego czasopisma, donoszącego o postępach w zakresie higieny dziecięcej.

Cyrkularz, zapraszający na zebranie kongresu, kończy się temi słowy: — „Spodziewamy się, że to zebranie, mające na celu moralny i materyalny rozwój młodego pokolenia, wywrze wpływ trwały i dobroczynny—zgromadzi na neutralnym gruncie Szwajcaryi wszystkie narodowości dla spełnienia szlachetnego i wzniosłego zadania.“ — Kolonie letnie są niewątpliwie zadaniem takim. Przy okrutnym zagadnieniu, trapiącym społeczeństwa nowoczesne: jak zapobiedz nędzy ludowych mas robotniczych? ratowanie zdrowia dzieci, rodzących się i rosnących wśród zacieśnionych i wilgotnych zaułków miejskich, można rzeczywiście określić przez wyrażenie: „tâche noble et élevée.“

Dr. Fritsche wyprawił już z Warszawy na sezon pierwszy około 60 dziewczynek.

W Radomiu urządzają również kolonie letnie, jak donosi *Gazeta Radomska*. Myśl, przez pismo to rzucona, a podjęta szlachetnie przez panna Józefa Helbicha, sekretarza Radomskiego Towarzystwa Dobroczynności, zostaje w czyn wprowadzoną. Trzech miejscowych lekarzy: Dr Idzikowski, Dr Piątkowski i Dr Radziszewski wzięli na siebie pracowite zadanie badania stanu zdrowia dzieci, kwalifikujących się do wysłania.

M. Ilmicka.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Deotyma: Polska w Pieśni. WANDA; Warszawa 1887: nakład Maurycego Orgelbranda, druk S. Orgelbranda Synów; str. 3 — 286, 8-o. — **Felicyan: Królowa**, dramat w pięciu aktach; odbitka z *Ateneum*; Warszawa 1888. druk K. Kowalewskiego; str. 1—81, 8-o.

(Dalszy ciąg).

Idea emancypacji, przewagi i panowania kobiet — wręcz zapowietrza cały poemat. Nawet tak wdzięczna olbrzymka, jak Tomiła, w scenie III aktu IV (str. 151²). Przyrównywa wyzwoleń kobiet przez Wandę do zorzy, kobiety same do ptaszków, i wierzy w ziszczenie się marzeń, kiedyś w dalekiej może przyszłości. Wanda położyła fundament pod tę przyszłą rzeczywistość. Cóż z tego, że dzień dzisiejszy przyniósł rozczarowanie? Chwila to „smętna, lecz wielka.“

Chociaż nie ogłasza,
Że światło wstało, ogłasza, że wstanie.

Własta popycha do walki z mężczyznami, chce ich wszystkich wytepić—może tylko z wyjątkiem jednego. Tomiła wierzy, iż rozwój emancypacji kobiet chrobackich wstrzymali sami bogowie; gdyby nie oni, jużby je Wanda uszczęśliwiła zupełnym wyzwoleniem. Sama Wanda jest niewyrażną. Słowa jej przytoczone wyrażają tylko żądze dorównania i równouprawnienia; ale w tym samym akcie IV, w scenie XVI, kiedy potrzeba ruszyć na Rytygiera, księżna lechicka i chrobacka zakazuje mężczyznom walczyć, bo chce całą sławę zwycięstwa dla kobiet zagarnąć. Jest ona tak mało księżną, a tak silnie emancypantką, że przestaje być już istotą rozsądną i w swej chorobliwej, pychę nadętej kobiecości, woła:

Dziś lackie białogłowy chcą zwyciężyć same!
Gniew mój na tego spadnie, ktoby przeszedł bramę,
Ktoby nam urwał jeden liść z nieśmiertelności.

Chodzi tu więc o liście—wprawdzie wawrzynowe.

I mężczyźni, Wyrwidęby, Waligóry, olbrzymy im podobne, drżą przed gniewem, nie śmia tknąć jednego listka, dopóki nie zobaczą, że wróg górę bierze! Sprawia to wrażenie bańki mydlanych, a nie istot żywych, wrażenie bajki dowolnie ułożonej, a nie prawdziwego życia, w którym każdy poeta zawsze i źródła swego i sytości swej szukać powinien. Jeżeli już poezja ma być jakimś processem, to tylko serca ludzkiego, nie ludzkich mózgów. Spory i walki rozumów, znoje i popisy rozumowe, zdobycze logiczne, prawdy, choćby najprawdziwsze, ale od serca ludzkiego oderwane, dla niej nie istnieją. Niewymownie skrzywdziła swój talent Deotyma, wtłaczając w Wandę tę nieszczęsną emancypację, która nie jest niczem więcej, jak tylko reakcją dumy kobiecej przeciwko mężczyznom. Właśnie taki temat podaniowy mógł się pięknie rozwinąć tylko w złotej mgłę dziecięcego wieku. Bez potęgi bezwiedności naiwnej żyjącej, bez wszechmocy wrażliwości zmysłowej, na której osnwały się wierzenia umysłowe, cały ten świat uludy, ani chwili jednej utrzymać się nie zdoła. Odgadnąć go, wejść w niego, zapomnieć o sobie, o chwili dzisiejszej, oddać się zupełnie przeszłości, aby zyskać jak najdoskonalszą jej wzajemność: taki tylko mógł być cel, taki głos dobrego anioła natchnień. Zobaczymy też, że gdzie Deotyma zapomina o emancypacji, gdzie chce tylko odtwarzać świat dawny w jego wiecznie ludzkiej prawdzie, a nie idee dzisiejsze, w ich niepewnej i chwilowej jedynie wartości—tam nas, nietylko zadowolić, ale i porwać może.

Przy takim dążnościowem opracowaniu pomysłu Wanda i jej rycerki nieraz muszą grać tylko rolę przewodów głosowych dla samej autorki. Nie można odmówić, ani rozsądku, ani pię-

knego wysłowienia następującym jej słowom, przekonywającym, że księżna, choć sama kobieta i apostołka emancypacji, umie okiem krytyki patrzeć na swe komilitonki (str. 45). Czuć w tych słowach zniechęcenie:

Jeśli garną się do mnie, i to czczya tłuda!
Ta, lśniący hełm włożyła, bo jej w nim do twarzy:
Ta inna, bo domową pracę ma w ohydzie,
Marzy: jak się podobać... A żadna nie idzie
Przez czysty obowiązek, niesiony ojczyźnie,
Przez szlachetny głód czynu, miłość wielkiej
[sprawy,
Lub choćby przez tę żądzę bohaterskiej sławy,
Co podobieństwo bogów rozbudza w mężczyźnie.

Albo dalej, w tejsamej rozmowie z Tomiłą:

Gdyby jakoweś bóstwo powiedziało dziewie:
„Wybierz: Oto przez życie masz przejść szanowana
Dam ci stolicę sędziów, dam w narodzie władzę,
Świat mądrości i wieszczby przez tobą roztworzę,
I na tajemnym wiecu bogiń cię posadzę,—
Lecz serce twe samotnem pozostanie może...“

Lub też: „Zamknę ci mądrość na podwójne wrota,
„Naród od swoich obrad odepchnie cię z tłumem
Dzieci i niewolników—i taka ciemnota
Oprzędzie twoje myśli, że mrówka czy pszczoła.
Najuboższe zwierzątko zrówna ci rozumem—
Lecz może jaki młodzian stanie i zawoła
Uchylając w zachwycie przed tobą kolana,
Że ci władzy nad sercem każdy król zazdrości,
Że nieświadomość twoja wyższa od mądrości.“

Czyżby która, o wybór tych losów spytana,
Wybrała pierwszy? Żadna.

Wanda, a raczej Deotyma przez nią mówiąca, ma zupełną słuszność; ale niech się pocieszy: i większość mężczyzn nie wybiera pierwszego z owych dwóch wskazanych tu losów: większość, i to ogromna, grzeźnie w używaniu, w małości życia, w drobiazgach, w nędzy lub nicości ideowej. I większość mężczyzn ogromna nie rwie się na wielką scenę, nawet tam, gdzie ją życie samo na nią zapędza. I o większości mężczyzn powtórzyć potrzeba słowa Mickiewicza:

Wzbił się jakiś płaz w skorupie;
Sam sobie sterem, okrętem, żaglarzem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb' wali;
Nie ignie do niego fala, ani on do fali:
A w tem jak bańka, prysnął o szmat głazu!
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Wracamy do Wandy. Zostawiliśmy ją na owym placu wiecowym pod Krakowem. Po rozmowie z olbrzymkami zjawia się giermek i oznajmia przybycie poselstwa od Rytygiera, zanim jeszcze poselstwo z Mazowsza odjechać mogło—z niczem. Wszystko to dobiega się o rękę Wandy. Następuje rozmowa z samą Tomiłą. Potem wchodzi Stanisław i zatrzymuje Wandę—skargą na nią samą: kocha i wzdycha. Spotyka go to, co i wszystkich. Nieszczęście jego dobrze oddają słowa:

Wchodzę w zimną noc rozpaczy.
Przed chwilą jeszcze byłem jak ten, co na wążkiej
Drożynie nad przepaścią chwytą się gałązki:
Zawiał, a na górze ludzie zatraskani
Patrzają i drżąc pytają: „Spadnie? czy nie spadnie?“
Złamała się gałązka—i spadł. Jęczę na dnie
Po co się cucić? Wyjścia niema z tej otchłani.
Tylko ból tam dolata... już wpił we mnie szpony.

O Wandę zazdrosny jest Wyrwidąb: wpada po odejściu księżny i robi scenę Stanisławowi. Wojownicy przybywający na wiec, rozbrajają ich. Zbiera się dwór i lud. Stają trzej posłowie niemieccy, a najstarszy z nich wychwala Rytygiera, jako władzcę rycerzy, pana wyspy białej, zbrojnego wieszczą burzy, bożka urody, hardego króla morza i wreszcie—co najważniej-

sza—bożka miłości.“ Wanda odpowiada na pean ze sztywną powagą i grą słów:

Wolę być księciem, niżeli za księciem.

Posel sięga po miecz, ale chowa go napowrót; przyczem owo rycerstwo lechickie ani drgnie. Kolejno wszyscy wychodzą, jeden ze starców, mądry starosta Ziółko, lęka się, aby te ciągle arbuzy nie zaszkoziły w końcu samej księżnie.

Tylko strach, gdy przebiera dziewczka przemądrzała,
By w końcu za sokoła dudka nie dostała.

Poetka przynosi nas potem przed zamek Rytygiera w Rudgardzie na Rugii. Wszyscy oczekują powrotu posłów. Księżę opowiada swą pierwszą bytność pod Wawelem: Krakus wtedy zakładał dopiero miasto w miejscu wioski. Na stoku góry była świątynia Lela; do niej szedł ojciec z córką. Rytygier nigdy nie zapomni uroczego zjawiska:

Gdyby o słońcu ludzie nie wiedzieli,
I poraz pierwszy wystąpiło z morza,
Nie takby stali *częścią* skamienieli
Jak my, gdy błysła ta żyjąca zorza.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż d. 28 Czerwca 1888 r.

Czas i skargi na niego. — Wpływy atmosferyczne — Projekt zniesienia banicy księcia d'Aumale. — Zabawy paryżkie. — Co one kosztują?... — Widowiska publiczne letnie. — Ogródki. — „Montagnes Russes.“ — Konne wyścigi. — Wielka nagroda. — Przygotowania do wystawy powszechnej w 1889 r. Wieża Eifela i odbudowanie dawniejszej Bastylii. — Śmierć francuskiego marszałka Leboeuf'a. — Komitet do przygotowania kongresu „wolnych kobiet“ w 1889 r. — Okólnik komitetu. — Nowa powieść *Yaga* i autorka jej pani Paradowska.

(Dokończenie).

Dia 7 Czerwca, w skromnej swej posiadłości w Moncel pod Argentan, w departamencie Orne, zgasł jeden z marszałków ostatniego cesarstwa, Le Boeuf. Był on jednym z tych kozłów ofiarnych, które poświęcają swej obrażonej dumie, dotknięte niespodzianą klęską, szczęśliwe i wolne narody. Zapewne, jako minister wojny w chwili wypowiedzenia wojny Prussom, wziął on na siebie ciężką odpowiedzialność, nie usiłując zatamować tego prądu, który w owej pamiętnej chwili unosił wszystkich ku wojnie; ale czy mógł tego dokazać? czy byłby w możności oprzeć się złemu? Są to kwestye, które nie miejsce tu rozstrzygać i zgłębiać.

Ja, co znałem nieboszczyka, i byłem tak blizki jego boku w czasie Wojny Krymskiej—muszę tu jedno tylko powiedzieć, czego byłem świadkiem naoczny: że narzucono mu przez opozycyjne dzienniki odpowiedzialność—jest wynysłem i fałszem. Powiadano i stało się to pewnikiem, że minister wojny, zapytany w Izbie: Czy był gotów do tej wojny?—miał odpowiedzieć z mównicy:— „Tak, gotów jestem, aż do ostatniego guzika kamaszów.“—Otóż byłem obecny na owem posiedzeniu Izby i świadcę, że nie podobnego nie wyszło z ust generała Le Boeuf'a—i że cała ta opowieść jest fałszem. Dodam jeszcze, że ani w owej chwili, ani w żadnej innej okoliczności, nie powiedział tego znarty marszałek. Ale, po nieszczęśliwym obrocie wojny w r. 1871 nieprzyjacielem cesarstwa i jego powierników, narzucili mu te słowa, jakby piętnując go w oczach narodu upokorzonego i rozdrażnionego przegrana, — czyniąc go odpowiedzialnym za wszystkie nieszczęścia i klęski ojczyzny.

Ja, co go znałem zbliżka i zdawna, wiem, jakim ciężarem zwały się na duszę tego dzielnego żołnierza nieszczęścia ojczyzny. Blizko sześć-

dziesiąt lat służby—szesnaście wypraw (campagnes), pięć cytacji w rozkazach dziennych do woj-ska; w dwudziestu ośmiu latach już ozdobiony krzyżem Legii Honorowej, był on jednym z najodważniejszych officerów francuzkich. Dzielny, śmiały, rozumny a wskroś poczciwy i zacny—takim był zmarły i takim go znamem zawsze.

Dotknięty śmiertelnie tym ciosem, który ugodził w ojczyznę, Leboeuf, cicho, skromnie usunął się na stronę i w dalekim zaciszu domowej zagrody, zakończył chwalebny swój żywot, jako chrześcijanin i żołnierz, dobroczynną ręką wspomagając wszystkich wokoło siebie.

W ostatniej chwili, czując zbliżającą się ostatnią godzinę, nie chciał spotkać się z nią w łóżku.—„Nie leżący, nie!... Nie chcę umierać w łóżku: na ziemię, na nogi!”—wołał, majacząc. I musiano go podnieść i posadzić w fotelu. „Teraz niech defluje mój pułk artylerji — mówił dalej nieprzytomny—cały pułk!... niech go widzę; niech widzę moich dzielnych żołnierzy... moich artylerzystów!...” To były ostatnie słowa wodza. Skłonił głowę na pierś i Bogu oddał ducha.

Wieczny ci pokój! mój stary wodzu!...

Odbieram w tej chwili dziwny okólnik — złem się może wyraził, bo dla czegoż dziwny?—dla tego, że się sprzeciwia starej, utartej rutynie... przedwiecznej praktyce—z dzisiejszego punktu widzenia—to nie racya—słowem, odbieram okólnik. Wychodzi on od komitetu kobiet, mających na celu utworzenie kongressu powszechnego, międzynarodowego *wolnych kobiet*. Kongres ten ma być otwarty w czasie wystawy paryzkiej w roku przyszłym w Paryżu. Komitet—jak się pokazuje z tego okólnika,—ma zamiar zawezwać wszystkie kobiety, którym wolność jest droga—a komuż ona drogą nie jest? — do jaknajliczniejszego zgromadzenia się na ten kongres, dla rozprawienia się—ostatecznie (?) co do praw równości i niezależności kobiety w dzisiejszym społecznym ustroju ludzkości!

Ponieważ ten okólnik jest autografowany, a zatem ma prawie poufny i prywatny jakoby charakter, nie śmiem tu więc wypisywać nazwisk, które go podpisały. Sądząc przecież z redakcyi i z podpisów—jestem bliżki tego przekonania, że komitet organizujący ów kongres składa się przeważnie z tychsamych osobistości, o których wspominałem już w mym liście z miesiąca Grudnia zeszłego roku. Jeśli więc czytelnicy moi przypominają sobie, co się tam powiedziało o kongressie towarzystwa, związanego w Paryżu, w celu „polepszenia mężczyzn”—mogą uważać działalność dzisiejszego komitetu za dalsze rozwinięcie tejsamej idei, tam złożonej dopiero w związku. Teraz, przy pierwszej wiadomości o istnieniu takiego komitetu, zdaje mi się stosownem poprzestać na samem doniesieniu i czekać dalszych jego czynności. A kiedy się pokaże, że zamiar przyjmuje już pewną i oznaczoną formę, wówczas będziemy mogli coś więcej i zasadniej o nim powiedzieć.

Nie wychodząc z zakresu działalności kobiety, muszę tu jeszcze powiedzieć słów kilka, o świeżo wydanej książce w Paryżu u Ollendorffa. Jest to powieść pod tytułem: *Yaga* (sic), przez panią Małgorzatę Paradowską.

Mówiono zawsze, że dobroduszny Polak niktogo i nigdy nie nauczył popolsku—to jest, że nie zmuszał nikogo do uczenia się jego języka. Zdaje się, że ten aforyzm miał głównie na celu, wskazać te cudzoziemki, z którymi się zenią Polacy. Jest w tem wiele prawdy. Zuspobienia, jakim nas Bóg obdarzył, łatwego uczenia się obcych języków, zawsześmy gotowi do wszelkich ustępstw w tym względzie, skoro nas wezmą, za naszą najślabszą stronę, za serce! Aby ukochać kobiecie nie wykręcać mózgów, wolimy się raczej sami uczyć obcego języka, niż zmuszać towarzyszkę, do tak mozolnej, a niełatwej pracy, jaką jest nauka polskiego języka, w którym nawal pokrzyżowanych spółgłosek, taką się języ zaporą już na samym wstępie.

Otóż z autorką *Yagi* stało się inaczej. Pani Paradowska jest z urodzenia Francuzką, a jak widać z jej powieści, mąż potrafił ją przekonać, że nie łatwiejszego, jak nauczyć się popolsku. Dobry to był nauczyciel, jak widać, bo pani

Paradowska, nietylko że się nauczyła mówić popolsku, ale, co więcej, z prawdziwie cudownem usposobieniem, zrozumiała i rozmiłowała się w tem, co jest rzeczą najtrudniejszą w świecie: ukochała życie, mowę, istotę naszego ludu! Jak na Francuzkę, jest to cud prawdziwy!

Jak możemy sądzić z tej powieści, poznała nasz ludek, przeważnie w Krakowskiem, a szczególnie w Galicyi. Rusini tamtejsi, to główne pole jej studyów, z którego też zebrała plon obfity, jak się to pokazuje z tej pierwszej jej książki. Powieść zawiera widocznie z natury wzięte fakta. Są to, według dzisiejszej metody, fotografie rzeczy widzianych i stosunki chłopów z duchowieństwem. Oto przedmiot powieści. Może w rysunku kontury są za ostre barwy, za ciemne—rzeczy zapewne wyjątkowe, podniesione do znaczenia ogólnego; ale, jakkolwiek bądź, jest to obrazek ciekawy bardzo, z powodu, że go maluje cudzoziemka Francuzka—albo raczej, jest to ciekawy zbiór pobieżnych szkiców branych z natury.

Sama też przygodna strona powieści jest tak prosta, niezawikłana, jak życie naszego ludu. Jaga jest to młoda, hoża dziewczka, będąca na służbie u miejscowego, świeżo do wsi przybyłego parocha, a choć już zaręczona z miejscowym sługą kościelnym, nie ma doń przecież żadnego nabożeństwa. Służy, aby zarobić potrzebne pieniądze na spłaceniu kilkunastu guldenów pożyczonych przez rodziców u przyszłego męża.

Znajduje się tu i dymisjonowany żołnierz, któremu Jagusia wpadła w oko, i który jej również przystaje do serca. Zawija tu intrygę dramatu. Następuje więc zerwanie z narzeczonym, który to bierze okrutnie do serca, zapija się z rozpacz i rzuca do wody. Nakoniec po długich przełomach i trudnościach, którym daje początek tak tragiczny wypadek na wsi, Jaga wychodzi za narzeczonego, albo raczej,—o, potęgę postępu — państwo młodzi, odrzuceni od ołtarza, zawierają ślub *cywilny* (!). Sporządza go stolarz, a zarazem nauczyciel wiejski!

Główną rolę w całej tej sprawie, i rolę dość wstrętą, odgrywa młody, ambitny i zarazony rozmaitemi wstrętnymi nowinkami paroch miejscowy. Jest to postać niespokojna, wyzyskująca, rzutka, wzięta zapewne, jak reszta, z natury. Zazdrosny, podejrzliwy, chciwy, wchodzący już widocznie na złą drogę odszczepieństwa, staje się on głównym narzędziem, przykrości i cierpień dla biednej Jagusi i jej żołnierskiego kochanka. Ale w końcu zrywają mu maskę z twarzy; jako czarny zdrajca, otrzymuje należytą karę za zbrodnię, i z dobrej, wygodnej parafii, odesłany zostaje w głuche i biedne Beskidy...

Może to odesłanie parocha przez samego właściciela tej wsi, pana Litewskiego, nie jest zupełnie zgodne z rzeczywistością; ale, że to jest jedyne nieprawdopodobieństwo, w całej tej powieści, możemy więc przejść nad niem do porządku dziennego, bez wielkich pretensyi do autorki.

Jest to więc powieść, czysto na tle ludowem a z układu, sposterzeń, rozmów i całej swej ogólnej barwy, wygląda tak, jakgdyby była tłamaczoną z polskiego — tak z niej bije miejscowy koloryt. Część szlachecka, pańska, jest tu dotknięta zaledwie. Ztąd też dziwniejsza rzecz nawet, że pani Paradowska, chociaż Francuzka, tak odrazu weszła w nasze chłopskie życie. Tu nawet w tej demokratycznej Francyi, niezmiernie są rzadkie przykłady pisarzów, co zostają czysto w sferze ludowej—i to nie uwrierskiej, ale czysto chłopskiej. U nas to radsze jeszcze; powieść u nas była i została dotąd powieścią szlachecką—o chłopie mało co słychać.

Z układu, ze sposobu traktowania przedmiotu, autorka przypomina, niestety! powieści Sacher-Masocha. Nie jest to, bezwątpienia, żadna pochwała dla pani Paradowskiej. To też ja myślę, że to podobieństwo musi być wypadkowem jedyne.

Jakkolwiek bądź, powiedzmy, że jest to pierwsza książka napisana po francuzku i podpisana polskiem nazwiskiem, która w ten sposób pojmuje i przedstawia nam polskie rzeczy. Widać tu tak wielkie przejście się przedmiotem z natury, taką prostotę, że utwór grzeszy nawet zbytnią

naiwnością. Tak przecież nie jest i właśnie w tem leży cały wdzięk tej książki.

Powieść ta była drukowana pierwotnie w *Revue des deux mondes*. Pokazuje to, że autorka musi mieć swoje ustalone tu dobre stosunki; bo to nie miłość zapewne dla Polski i Polaków spowodowała, że ten stary, a wybredny przegład tak zaraz otworzył swe łamy na przyjęcie nowej nieznaney autorki Polki i z polskiem t obołem na plecach... Należy się więc szczerze po dziękowanie naszej Małgorzacie, ale pan Paradowski powinien się być bliżej rozpatrzyć w korekcie i trochę poprawniej wypisać imiona, nazwiska i t. p. Dlaczego niezrobić czysto i porządnie tego, co ma już pewną swoją zaletę pisarską,—kiedy to tak mało kosztuje?

G Ó R Y.

(Dokończenie. Ob. Nr 27)

Już to wogóle krążą o nich niezliczone powiastki, mniej więcej podobne do siebie, gdzie karzelki, będąc w posiadaniu niezmiernych bogactw, nie jednak nie chcą udzielić z nich ludziom, chyba zmuszone do tego koniecznością. Uderza to właśnie w podaniu przywiązaniem w Niemczech do góry *Zwergenberg*, której sama nazwa wskazuje, że musiało tam być ich główne siedlisko. Trafiło się tedy, że trzej młodzieńcy, synowie młynarza, postanowili udać się na ową górę, aby jakimkolwiek sposobem dostać pieniędzy od karzełek, co, jak słyszeli—z łatwością mogło się udać, gdyby tylko zdołali im pochwycić jedną z owych czerwonych czapeczek, które były ich strojem niezbędnym. Najpierw poszedł najstarszy, położył się w trawie i czekał, kiedy naraz nadbiegły karzelki, zaczęły się bawić i czapeczki swoje wyrzucać do góry. Lecz kiedy chciał już pochwycić jedną z nich, która upadła tuż koło niego bliźniutko, karzelki podniosły ją jeszcze prędzej i, przyskoczywszy ku niemu, zabiły go. Poszedł potem drugi brat, lecz taksamo niezręczność swoją przyplacił życiem. Nareszcie poszedł trzeci, najmłodszy, który, widząc, że karzelki zaczęły się bawić jak zwykle, udawał, że na nich nie zważa bynajmniej. Raz spadła czerwona czapeczka koło niego, potem drugi raz jeszcze bliżej; ale on się nie ruszył z miejsca, dopiero gdy spadła poraz trzeci, porwał ją i schował do kieszeni. Wtedy obstały go karzelki, z płaczem, prosząc, aby ją oddał; lecz on nie dał się wzruszyć ich prośbami i kazał się zaprowadzić do wnętrza góry, gdzie mieli swoje mieszkanie. Znalazł tam prześliczną salę, której ściany były wysadzane drogiemi kamieniami, sięjącemi blaski cudowne; na samym środku stał świecznik dyamentowy, a dokoła leżały ogromne kupy złota. Kazał dać sobie ten świecznik i trzy wory złota, a otrzymawszy to wszystko, oddał czapeczkę i był odtąd najbogatszym we wsi człowiekiem.

Ale największą doniosłość mają niezaprzeczenie owe legendy o śpiących w górach wraz z wojskiem swoim, zaklętych królach i bohaterach. Znanie są one tak u nas, jako też i w całej Europie zachodniej, a wspólne ich znamię stanowi wszędzie ta okoliczność, że bohater lub król wtedy ma się zbudzić z uspienia, gdy broda jego obrośnie trzy razy dokoła stół, przy którym siedzi zaklęty. Takie właśnie opowiadanie krąży o górze *Guckenberg* we Frankonii Bawarskiej, gdzie cesarz jakiś miał się zapaść z wojskiem. Tosamo też mówią w Niemczech, raz o Karolu Wielkim, to znowu o Fryderyku Rudobrodym.

I tak, koło Norynbergi jest góra cesarza Karola Wielkiego, z której dawnymi czasy często rozlegały się śpiewy. Pewnego razu biedny piekarczyk, dźwigając kosz chleba, zalił się przed staruszkiem, którego spotkał, że nie miał odbytu, a ten kazał mu iść z sobą i zaprowadził go do owej góry, do środka. Tam chłopak zobaczył ce-

sarza, siedzącego przy stole, z brodą długą, dwa razy opasującą stół dokoła i wszystkich swój chleb sprzedał. Na nieszczęście zapłacono mu starami pieniędzmi, z których posiadania gdy nie mógł się usprawiedliwić w mieście, zmuszony był opowiedzieć całą swoją dziwną przygodę, chociaż starszek nakazał mu tajemnicę. Za karę nigdy już potem nie mógł odnaleźć miejsca do góry.

Taksamo w Turyngii, w górze *Kyffhäuser*, śpi Fryderyk Rudobrody, siedząc przy stole okrągłym, z głową podpartą na rękę, a skoro broda jego poraz trzeci opasze stół, wtedy się zbudzi, wyjdzie na świat Boży, tarczę swoją zawiesi na suchem drzewie, które się natychmiast zazieleni, i nastąpią dla wszystkich lepsze i szczęśliwsze czasy. Pewnego razu widział go owczarz, któremu cesarz kazał zagwizdać nutkę pasterską; potem spytał się go, czy kruki zawsze jeszcze latają koło gór? a dowiedziawszy się, że latają, powiedział: „A to ja jeszcze sto lat spać muszę.“

Podobne podanie, w kilku nawet wersjach odmiennych, krąży i u nas o białem wojsku *zasnietem*, to jest, uspięnym w górach. W Beskidach twierdzą niekiedy, iż śpi ono w Babiej Górze i wtedy się zbudzi, gdy się skończy kłatwa św. Stanisława, rzucona na Bolesława Śmiałego. Już się podobno poruszyło kiedyś, i z tego powodu otworzyło się w Babiej Górze kilka nowych dołów i usunęło się parę morgów pola i lasu. A znowu podług autentycznego opowiadania samych górali, wojsko to ma być zakłęte w *Halach*, to jest w Tatrach, w górze *Blanickiej*. Trzeba zaś wiedzieć przedewszystkiem, iż w miejscu, gdzie stoją dziś Tatry, było niegdyś ogromne miasto, które z rozkazu Bożego zapadło się do ziemi, gdyż zepsucie było w niem doszło do najwyższego stopnia, a pozostałe mury i gmachy zamieniły się w skały. I tak Czerwony Wierch, który stanowi zwykle cel jednej z pierwszych wycieczek turystów zwiedzających Zakopane, to podobno kościół skamieniały, gdyż pewien *juchas*, to jest pasterz owiec, trafił tam raz pewnego na nabożeństwo. Pasł owce w Niedziele na Czerwonym Wierchu, kiedy nagle doleciał go dzwonek i śpiewy. Idąc za głosem, znalazł *juchas* drzwi w skałe. Wszedł i zdziwił się, ujrawszy się w ogromnym kościele, gdzie nabożeństwo się odbywało i ludzie śpiewali jakimś niezrozumiałym językiem. Lecz ruch się zrobił, skoro go spostrzegli, i porwawszy, wyrzucili za drzwi, a zatrzasnęli je za nim tak mocno, iż huk się rozległ po Tatrach z końca w koniec.

Otóż w Górze *Blanickiej*, która ma być także jakimś skamieniałym gmachem, śpi to wojsko zakłęte, jak dawno, niewiadomo, lecz w każdym razie więcej, niż tysiąc lat, a zbudzi się wtedy, gdy się Kraków zapadnie pod ziemię. Kiedyś miało się zdarzyć, że pewnemu góralowi, który pasł owce na tej górze, zawsze się gdzieś podziwiała jedna z nich i wieczorem dopiero wracała do stada, a nie mógł dopatrzeć, gdzie mu się kryła właściwie. Wziął tedy kłębek, uwiązał jej nie u nogi i tym sposobem wyszedł, iż wlażyła do lochu w skałe. Spuścił się i on do lochu i szedł czas długi pod ziemią, aż wreszcie znalazł się w pięknym podwórku, gdzie ujrzał owcę swoją, jak liżała słupek soli. Dokoła były ogromne stajnie i bramy, a w bramach wszystkie drzwi zamknięte. Uchylił najbliższe i wszedł do wielkiej izby, zastawionej stołami, przy których śpali rycerze, wspartyszy głowy na rękach. Każdy z nich miał brodę długą, dwa razy opasującą stół, przy którym siedział i każdy był uzbrojony, jak do bitwy, a gdy góral, wchodząc, tracił głowę w dzwonek wiszący nad drzwiami, wtedy jeden z rycerzy, otworzywszy oczy, spytał: „Czy to już czas?“ Chłop, wystraszony niezwykłym widokiem, odparł, że jeszcze nie czas, i co tchu umknął za drzwi. Stojący zaś przy drzwiach szyldwach, zbudził się także i zatrzymał go, pytając: po co tu przyszedł?... Góral, nie wiedząc, jak się usprawiedliwić, odparł, że przyszedł po pieniądze, bo słyszał, że ich tu dużo mają. Na to wojak rzekł mu, że pieniędzy dadzą mu chętnie, jeżeli spełni pewne polecenie. Potem wziął parę gwoździ, sznurek, młotek i kleszcze, kazał

mu iść z tem do Krakowa, na pierwszym rogu wbić gwoździ, sznurek uwiązać i opasać nim miasto dokoła, a wtedy związawszy oba końce, wyciągnąć kleszczami gwoździe, któreby służyły do umocowania sznurka i umykać w pola nie oglądając się; dopełniwszy zaś tego wszystkiego,—przyjść po zapłatę.

Góral podjął się chętnie tego zlecenia. Wybrał się do Krakowa i, otoczywszy miasto sznurkiem, który stosownie do obwodu jego, miał siedm mil długości, uciekł w pole i przybiegł zdyszany pod lipę, gdzie stał jakiś siwy starszek. Nie wiedział, że to był Pan Jezus w przybranej postaci.—„Oóżeś ty człowieku zrobił najlepszego? czy wiesz jakie z tego będzie nieszczęście?—rzekł mu Chrystus.—Wróć-że się zaraz, a odwiąż sznurek i przynieś go tutaj!“ Góral, zaniepokojony tą mową, pobiegł i przyniósł sznurek, a wtedy starszek kazał mu obmotać nim lipę, związać końce, i odszedłszy, patrzeć co z tego wyniknie?... Po jakimś czasie lipa zaczęła się chwiać, ziemia się rozstąpiła i pochłonęła ją, a na tem miejscu buchnęły płomienie ogniste.—„Patrz,—rzekł mu starszek,—tosamo byłoby się stało z Krakowem, gdybym ci nie przeskodził w twojej robocie!“ Dopiero otworzyły się oczy góralowi... Przypomniał sobie, co słyszał od starych ludzi, iż wojsko zakłęte wtedy się zbudzi, gdy się Kraków zapadnie i domyślił się, że go chciano użyć jako narzędzie do przyspieszenia tej chwili. Wielce się tem wystraszył i, wróciwszy w góry, nigdy już potem nie zaglądał do owego lochu w skałe, ani też owca jego nie chodziła liżąc słupek soli¹⁾.

Ale jeżeli rycerze zakłęci nadali pewnym górom bohaterski charakter, to obok tego nie można pominąć i tych gór jeszcze, które noszą barwę awanturniczą, jako uprzywilejowane miejsca sławnych na cały świat sabbatów czarownic z dyablami. Są to tak zwane powszechnie *Lysy Góry*. Tam właśnie mają się odbywać w pewnych epokach dorocznych, mianowicie 3-go Maja, 24-go Czerwca na św. Jan i 1-go Grudnia na św. Łucyą, owe szalone igrzyska nocne, na których śpieszą czarownice, zlatając się tłumnie ze wszystkich okolic i mocą czarów swoich, jadąc na miotłach, łopatach, kociubach, kawałkach drzewa, tak jakby na rącznych koniach powietrznych. Jak twierdzą górale, to Łysa Góra ma się znajdować w tym punkcie, kędy się schodzą granice wszystkich krajów na ziemi, przez co, oczywiście, nadają jej znaczenie mytyczne, chociaż niemniej faktem jest, że wiele gór nosi w rzeczywistości nazwę *Lysych*, a wśród nich trzy są najświetniejsze u ludów słowiańskich. Jedna się znajduje na Morawach, w górach zwanych *Bielawami*, które są dalszą gałęzią naszego zachodniego Beskidu, druga w Sandomierskiem na 1.900 stóp wysoka, gdzie stała dawnymi czasy świątynia pogańska, i trzecia nareszcie najgłośniejsza może, pod samym Kijowem, przy Czerńhowskim gościńcu, który prowadzi do dawnej stacji pocztowej Browarów. Podług opowiadania tych, którzy zwiedzili to miejsce pod Kijowem, jest to wydma piaszczysta, położona wśród sosnowego lasu, nieporośnięta nawet trawą, dzika i ponura. Zdaje się jednak, że *wiedźmy* kijowskie już się tam przestały zgromadzać, a to od czasu jeszcze, jak została przeprowadzona koło miejsca tego szosa, i dzwonki pocztowe, przelatując i we dnie i w nocy, przerwały panującą przedtem ciszę i samotność. Dziś podobno zgromadzają się one gdzieindziej, ale gdzie? o tem w okolicy nikt już nie wie z pewnością, chociaż nikt nie wątpi, że jakaś inna góra została przez nie obraną w tym celu.

Bo góry, te wspaniałe olbrzymy, tak hojnie opasane w piękności zewnętrznej także i w świecie fantazyi niemniej dostały bogactw w udziale. I czegoż w nich niema! Bogowie i duchy, karzełki złośliwe, zakłęci rycerze i czarownice wyprawiające gonitwy powietrzne, jak w kalejdo-

skopie, się przesuwały przed zdumioną myślą człowieka, samotność gór ożywiając tysiącem różnych postaci. Prawda, że trzeba umieć je wywoływać, lecz jakże łatwo posiadać tę umiejętność! Trochę tylko chęci badania i dociekania, trochę zamilowania do starych podań i bajek, zwyczajów i przesądów ludowych; i oto już zdobyty talizman wiedzy dostępnej każdemu, a rozświecającej niejedną zagadkę mytów, które zasiały wieki zamierzchłe na tle potężnym całej otaczającej przyrody.

Stefania Ulanowska.

Kronika działalności kobiecej.

— Zawiązało się w Warszawie bardzo pożyteczne i potrzebne stowarzyszenie: kassa oszczędności i samopomocy kobiet pracujących, w zawodzie nauczycielskim, artystycznym, w handlu, w przemyśle, w rękodzielnictwie. Przyjęcie do stowarzyszenia uczestniczki odbywa się przez głosowanie za pomocą kartek, przytem kandydatka powinna być polecona przez dwie uczestniczki, niemniej przyjęcie jest zależne od członków zarządu; w razie nieprzyjęcia kandydatka ma jeszcze prawo odwołać się do walnego zgromadzenia stowarzyszonej. Wpisowego płaci się bezzwrotnie rs. 1; miesięczna składka na oszczędność, wnoszona zawsze z góry, jest najmniej pół rubla, od którego to wkładu otrzymują uczestniczki procent i dywidendę. Szkoda przecież, że wysokość procentu nie jest wyluszczone w projekcie ustawy. Prócz tego stowarzyszone mogą wnosić w każdym czasie, i ile która może, na oszczędność. Uczestniczka, która dobrowolnie wystąpiła ze stowarzyszenia, może do niego powrócić, ale płaci teraz wpisowego rs. 2. Wpisowe obracaniem zostaje na fundusz rezerwy. W razie wykluczenia przez zarząd, składki na oszczędność wraz z procentem, zostają wypłacone wykluczonej po zamknięciu obrachunkowego roku stowarzyszenia.

W razie śmierci stowarzyszonej spadkobiercy jej mają prawo do odbioru złożonych oszczędności wraz z należnym procentem. Osoby trzecie nie mogą dochodzić pretensyi swoich na oszczędnościach stowarzyszonej, ani kłaść na nich arsztu. Uczestniczce służy prawo żądania pożyczki; w razie wyjątkowej potrzeby może otrzymać wsparcie w miarę możliwości kassy.

Zarząd może czerpać z funduszu rezerwowego, na niezbędne wydatki administracyjne, jak sprawienie ksiąg, druk kwitów. Fundusz zapomogowy powstaje z dobrowolnych ofiar, legatów, z kar za przetrzymanie rat spłacanej pożyczki i z powtórnego wpisu. Pożyczka może być udzielana ze zwrotem jednorazowym, lub w ratach miesięcznych, nie dłużej, niż w przeciągu dwunastu miesięcy. Wysokość pożyczki projektowaną jest na rs. 60; do otrzymania jej potrzeba poręczenie dwóch uczestniczek, lub dwóch osób do towarzystwa nienależących, ale przedstawiających odpowiednie rękojmię. Za uchybienie terminu w wypłacie rat miesięcznych płaci niewypłatna uczestniczka karę 1-ej kop. od rubla na miesiąc. Prawo udzielenia pożyczki, przysługuje zarządowi. Ogólne zebranie uczestniczek wybiera z łona swego większością głosów, danych przez kartki: przewodniczącą, vice-przewodniczącą, 5 członków zarządu, trzy zastępczynie; dalej komisyją kontrolującą, złożoną z trzech uczestniczek wreszcie radę opiekuńczą z pięciu mężczyzn, osób wpływowych, mających opiekować się interesami stowarzyszenia nazewnątr. Uchwały walnego zebrania są ważne, jeżeli uczestniczy choć jedna trzecia członków; jeżeli nie zebrała się dostateczna potemu liczba, zwołane być musi zgromadzenie powtórne we dwa tygodnie, i wtedy bezwzględnie już na liczbę członków, uchwały zapadły są prawomocne. Do sprawdzenia rocznych rachunków rada zarządzająca deleguje dwóch członków. Rozwiązanie stowarzyszenia

1) O podaniu tem, nieznanem dotąd etnografom i znajdującem się tylko w moich własnych materyałach, pisałam już w 1883 r., w artykule p. t. *Godnia Święta w górach*; *Czas*, N. 54.

nastąpić może przy odpowiednich formalnościach na żądanie $\frac{3}{4}$ członków. Statut stowarzyszenia został podany do zatwierdzenia władzy.

— Świętej pamięci Natalia Kicka, generałowa, zapisała testamentem swym na szpital dla rzemieślników kilka obrazów, przedstawiających około 100.000 franków wartości, znajduje się bowiem między niemi bardzo wysoko ceniony obraz Rembrandta, przedstawiający portret jego matki, oraz Rubensa: „Wniebowstąpienie“, „Polowanie w lesie“, „Ś. ty Marcin“—wszystko oryginały niewatpliwe. Testatorka zwraca się w tej ostatniej swej woli za prośbą do hr. Ludwika Krasińskiego, aby obrazy powyższe sprzedał, albo londyńskiemu muzeum sztuki: *British Museum*, albo w Paryżu i otrzymany za to kapitał dołączył do funduszu na powyżej wymieniony cel zostawionego też zapisem testamentowym przez śp. Rozalię Rzewuską. Jako wzór urządzenia szpitala wskazuje testatorka szpital, wzniesiony przez Napoleona III-go w Vincennes. Oprócz tego testatorka zapisała 3.000 rs. na zakład paralityków i na wybudowanie ambony w kościele *Wszystkich Świętych*, który obdarzyła również różnemi cennymi darami. Zmarła ta pani należała do najszlachetniejszych, najdoskońszych duchem kobiet naszych. Do wszystkich tradycyjnych cnót, stanowiących w pojęciu naszym kobietę znaną, dołączonym tu był umysł podniosły i wyższe wykształcenie, oraz wysoko rozwinięte poczucie artystyczne i znanstwo w zakresie sztuki.

— *Gazeta Radomska* zamieszcza w N 54 artykuł nadesłany z podpisem: „Maruda“ dotykający ważnej sprawy kobiecego rozwoju. Korrespondent podaje tam zdarzenie osobiste, jak w czasie ubiegłej zimy jadąc do Zwolenia szosą lubelską spotkał dziewczę wiejskie, w wieku może lat piętnastu, córkę gospodarza ze wsi Kuczki, która z ciężkim tobołkiem na plecach brnęła przez wodę, powstała z roztopów śniegowych. Że miała do domu jeszcze więcej niż milę drogi, podróżny ulitował się biedaczki, kazał jej wsiąść do swoich sani i rozpoczął z nią rozmowę, wśród której pokazało się, że dziewczyna wie dokładnie, ile mórg gruntu ojciec jej posiada, ile na nim korey i jakiego zboża wysiewa, ile z tego zbiera, ile sprzedać może i mniej więcej w jakiej cenie. Wiedziała też ile podatku płaci, a wypytywana o inne dochody i rozchody ojcowskie, znała również dokładnie wszystkie pozycje, czyli cały stan majątkowy rodziny był jej zupełnie wiadomym. Korrespondent „Maruda“ z zalem stawia życzenie, aby starsze już nawet córki gospodarzy we dworach miały taką znajomość położenia i interesów rodzicielskich, wiedziały, jakim jest dochód i rozchód, bo może niejedna „użyłaby (pracą swoją) nadmiernym ciężarom,“ jakie gniołają ojców rodzin.— „My ojcowie poświęcamy ostatni swój, a często pożyczany grosz na *wszechstronną* edukację córek“ — pisze on z zalem, dowodząc, że edukacja ta nie wydaje odpowiednich korzyści, nie czyni młodych panien tak mądrze rozsądnymi, aby umiały zrozumieć chwilę czasu, aby umiały wziąć się do pracy w sposób korzystny dla nich samych i rodziny: zarzut smutny i ciężki, który i rodzicom i córkom powinien dać do myślenia: ile tu jest słuszności po stronie oskarżającego? Że przecież rodzice-to dają kierunek wychowaniu dzieci, a następnie mają nad niemi prawo karności domowej, na nich więc głównie spada wina za spalenie umysłu młodych, za niedobór w wywiązywaniu się młodzieży z obowiązków swoich.

— W niedawno założonej w Warszawie fabryce wyrobów dżetowych znajduje zajęcie przeszło 100 pracownic, a wyroby ich już zaczynają być wysyłane na zbyt zagraniczny. Właściciele

fabryki zamierzają ją rozszerzyć przez otwarcie wyrobu pasamanterii dżetowych, które dotąd prawie wyłącznie przychodzą nam z zagranicy.

— Towarzystwo Osad Rolnych dla małoletnich przestępców zamierza urządzić odpowiedni przytułek rzemieślniczy dla dziewcząt i przystąpiło już do wypracowania projektu ustawy. Zakład będzie miał charakter mieszany, to jest będzie mieścił zarówno dziewczęta skazane wyrokiem sądowym, jak również moralnie zaniedbane i oddające się włóczęgowstwu i żebraniu. Do przytułku kwalifikować się będą dziewczęta od lat 8-miu. Towarzystwo wyznaczy z łona swego specjalnych opiekunów, mających wyrokować o oddaniu dziewcząt wspomnianych do tej instytucji poprawczo-wychowawczej, którą nazwać trzeba instytucją użyteczności publicznej w stopniu bardzo wysokim.

— Lwowska wystawa wyrobów kobiecych w tamtejszym *Muzeum Przemysłowem* przedstawiła się bardzo bogato. Szczególniej malarstwo dekoracyjne na tkaninach przedstawiło okazy bardzo efektowne: malowidła na białym aksamicie i atlasie, portyery jutowe z malowidłami na pasach rypsowych, wełniane firanki ciemnowiśniowe, malowane w złote arabeski, odznaczały się szczególnie. Obok tego malowidła na szkle i porcelanie, na blasze i skórze, zasłużyły sobie na uznanie, równie jak wypalane w ogniu na szkle i naczyńiach polewanych. Wystawę urządziły pp. Janiszewskie, uczennice p. Agaty Buffle z Krakowa, gdzie pani ta zaprowadziła w rządowym seminarjum żeńskim naukę malowania stosowanego do przemysłu, oraz naukę koszykarstwa, jak to pismo nasze donosiło przed laty kilku i gdzie kronikarka *Bluszczu* widziała poraz pierwszy malowidło farbami olejnymi na tkaninach przedstawiające bogate efekta naśladowania gobelinów. Kopiowany w ten sposób ornat ze starożytnego zabytku historycznego w świątyni na Wawelu przedstawiał wyjątkowy interes. P. Agata Bouffle miała niegdyś bogdaj czy nie pierwszą u nas w tym rodzaju szkołę robót kobiecych we Włocławku, która upadła dla braku środków.

— Na wystawę lwowskiego *Towarzystwa Sztuk Pięknych* nadesłała p. Władysława Gostyńska w gipsie wyrobione popiersie jednego z bohaterów powieści Siemkiewicza — kozaka Bohuna. Znawcy miejscowi przyznają temu dziełu młodej artystki oryginalność w pojęciu typu i zarazem wielki postęp w rozwoju jej talentu.

— Przy łożu Fryderyka III czuwała w ostatnich czasach przedśmiertnych wezwana przez cesarową Wiktorję katolicka siostra miłosierdzia reguły Ś-go Boromeusza, z klasztoru Ś-go Józefa w Poczdamie. Siostra Jadwiga jest wśród społeczeństwa świeckiego księżniczką Radziwiłłówną i odawała ona wielkie usługi nie tylko choremu, ale i cesarzowej Wiktorji przez zupełne zaufanie, jakie wzbudzała. Jeszcze cesarzowa Augusta podobnie jak i Fryderyk III otaczali troskliwą opieką katolickie siostry miłosierdzia tak reguły Ś-go Wincentego à Paulo, jak i Boromeuszki.

— Na ostatnim konkursie w paryżkiem konserwatorium muzycznym otrzymała w klasie fortepianowej pierwszy medal p. Helena Szkop, Warszawianka, licząca lat siedmnaście. Już od lat trzech otrzymuje ona przy przejściu z klasy do klasy pierwsze medale. To też cały skład szkoły wraz z jej dyrektorem, Ambrozym Thomasem, przepowiada jej znakomitą przyszłość muzyczną. Na tegorocznym konkursie stanęło do popisu 49 uczennic, ona była pięćdziesiątą.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Warszawska kassa oszczędności** przy Magistracie liczy obecnie 41,504 uczestników; kapitał złożony wynosi 1,863,865 rs.

— **W Parku Rudy Gazowskiej** odbył się festyn szkolny dla dzieci robotników fabryki zyrardowskiej, uczęszczających do dziesięciu szkółek elementarnych jakie założył dla nich p. Diettrich, prezes zarządu Akcyjnego Towarzystwa wymienionej fabryki, i które są przez tenże zakład utrzymywane. Zgromadziło się około 1.000 dzieci, które przybyły do parku parami, w towarzystwie nauczycieli i nauczycielek, przy dźwiękach bardzo dobrej kapeli fabrycznej. Były rozmaite gry zręczności z udzieleniem nagródami w pieniądzech, podwieczorek a potem wieczerza.

— **Obraz Matejki** budzi we Lwowie niemniej sze zajęcie, niż w Krakowie. W dni świąteczne cisną się do tego wspaniałego arcydzieła tłumy, rzucające przed niego kwiaty. Jednej niedzieli było zwiedzających 2.550 osób, a trzeba dodać, że miasto liczy 120.000 ludności. Miejscowi artyści pędzla i dłuta, w liczbie ośmnastu, odezwali się do publiczności o widomy znak hołdu dla mistrza, który rozwinął w tem dziele swoim nieznaną dotąd skarby geniuszu swego. Pragnieniem ich jest, aby miasto złożyło mu złoty wieniec laurowy.

— **Pan Tadeusz** w wydaniu taniem wyszedł we Lwowie, opracowany przez uczonego filologa, Dra Bruchnalskiego. Przypiski bardzo liczne uprzystępniają czytanie książki osobom mało do tego przygotowanym. Tom to jest obejmujący 296 stronnic z życiorysem i kosztuje w oprawie ozdobnej 24 centy.

— **Sprzedaz Zakopanego** p. Goldfingerowi nie została uchylona przez wyrok sądu w Nowym Sączu jak miano nadzieję, sądząc, że do nowej licytacji stanie i utrzyma się zwyczajko bawiący obecnie w Krakowie Polak-Amerykan, Jerzmanowski.

— **W Peszcie** wspomniały gazety o instrumentacie muzycznym „Aelopentalionie“ wynalezionym w 1828 r. w Warszawie przez dwóch Polaków. lubo z niemieckimi nazwiskami: Brunnera i Hoffmana. Peszceńcy melomani pragną się dowiedzieć: gdzieby instrumenta te dały się zakupić w znaczniejszej liczbie?

— **Tablica pamiątkowa** dla uczczenia pamięci Śniadeckich została wmurowaną w ścianę katedry gnieźnieńskiej. Tablicę sprawiono kosztem 4-go zjazdu lekarzy i przyrodników, za inicjatywą Dr. Szokalskiego. Na uroczystość poświęcenia przybył z Poznania Dr. Wicherkiewicz, prezes zjazdu. Ksiądz Dr. Kantecki odprawił nabożeństwo.

— **Basza Sartyński**, Polak z rodu, został gubernatorem Kandyi, czyli starożytnej Krety. Rządy jego rozumne i łagodne uspokoiły zaburzenia i od jego przybycia na wyspę, nie było żadnego morderstwa, ani skrytobójstwa ze strony Greków.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 13-ty powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander.

TREŚĆ: Nowa Ewa. — Na krasnym dworze, powieść historyczna, przez Fr. Rawita. — Notatki pedagogiczne. — Przegląd piśmienniczy, (dalszy ciąg), przez St. Krzemińskiego. — **Nowiny paryżkie**, (dokończenie). — Góry, legenda, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 13-ty powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander. — 25 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Se-kreta gospodarskie.** — **Dyspozycją stołu.**